

ŻÓŁW Z OXFORDU

Aleksander Wat

K.A. Jeleńskiemu

*A królowa z Saby, usłyszawszy sławę o Salomonie i o imieniu
Pańskim przyjechała, aby go doświadczyła w zagadkach.
III Regum, X, 1*

Na wschodnim chodniku w Magdalen College mały
żółw długo namyślał się, nim odpowiedział na
pytanie, poruszał zuchwami jak mecano:

„Tego

i ja pamiętać nie mogę: mam lat dopiero
dwieście i dziewięćdziesiąt trzy. Ale w rodzinie
przechowuje się pamięć, jak praszczur nasz b.p.
asystował amorom królowej Saby z twoim praojcem.
O zagadkach, przez nią wrzekomo zadanych, tradycja
nasza milczy. Owszem: że działo się w alkierzu bordo,
gdzie zamiast lamp jarzyło złoto. Z Tyru, rzecz jasna.
Mój praszczur nie był uczonym żółwiem. Choć szanowitym,
bezsposornie”...

Posuwaliśmy się za nim drobnym kroczeniem, ja, moja
piękna żona i Adriana, nasza śliczna przewodniczka.
Słuchaliśmy żółwia z namaszczeniem. Kiedy zasapał się,
moja żona miłym muśnięciem palca ożywiła
jego pyszczek... Po to przecie objam się!
po obcym świecie!! na stare lata!!!
Piszę, mianowicie, autobiografię i zbieram dane
do genealogii naszego starego rodu. Na żółwia
wskazał mi pewien angielski diuk w szynku
portowym w Neapolu za miskę klusek i szklanę

wina. („Żółwia tego – mówił – przywiózł do Oxfordu, aż het z Abisynii, mój pra-pra-pradziad admirał!”) Słuchaliśmy zatem żółwia we troje z namaszczeniem należnym tak dostojnej osobie uniwersyteckiej. Pauza była tym razem drażniąco długa, gdy naraz, zza kępy, trysnął młody śmiech, i łódź przepłynęła unosząc parę. Nieładni oboje. Ale moją żonę zachwyił śmiech zakochanych. Nie muszę dodawać, że drepcząc za żółwiem i nasłuchując co nam rzec raczy, przygięciśmy byli tak nisko, że wypadałoby powiedzieć: raczkowaliśmy. Czy z tego się śmieli? Z własnej miłości? Z miłości w ogóle? Mniejsza o nich.

„Więc, ledwo odwrócił się na wznak, spytał: A TERAZ powiedz, mała, co mówią o mnie w twym kraju? – Królowa, jeszcze w zapałach: Że kochasz mądrość – wystękała – i kobiety – Mądrość? – odparł – nie przeczę. Ale kobiety? Niezupełnie. Kocham kobiecość”...

Znów zapadła pauza. Tym razem nie śmiech, ale płacz, i to niemowlęcia, bardziej tu zaiste niesamowity, niż np. pijacki rechot w katedrze.

„I miał rację” – dodał żółw po przerwie. „Nie miał!” – wykrzyknęła urocza Adriana, cała w pąsach. Była dobrze wychowana, pierwszy raz zdarzyło się jej wpaść w mowę osoby starszej. „Miał rację – powtórzył żółw, jakby nie dosłyszał. – Wielki pan winien kochać wyłącznie uniwersalia: nie trawę – trawskość, nie ludzi – ludzkość, dupskość – nie”...

Dokończył czy nie – nie wiem, bo znów Adriana wtrąciła, prawda że bez zapału: „Kto nie pokochał kogoś, ten nikogo nie kocha”... Żółw zamilkł, na dobre; jednakże był obrażony: jemu nigdy nikt tu nie przeczył! Nie mieliśmy muszek, ani czym ułagodzić incydent. Ale moja żona, która ma dar zjednywania sobie zwierząt i dzieci, pomasowała mu lekko żuchwy. Więc znów przemówił, ba, rozgadał się na dobre. „Kiedy po raz trzeci Król Salomon zlął z Królowej, spytał: Zatem jakiej rady domaga się twój naród? Czego chce ode mnie? – Małego paznokietka – odrzekła Królowa Saba – z najmniejszego palca Twojej nogi. – Daję go wam – przystał Król i sam podał jej nożyczki do pedikuru, a ona wyciągnęła z zanadrza złotą czarkę, kunsztownie rzeźbioną przez samego Hiram-Abi,

którą Król, po pierwszym stosunku, ofiarował jej był.
 Ze szczelnym wieczkiem, na nim ryta groźna twarz Astaroth...
 ... Krótki krzyk, krew trysnęła do czarki, wieko
 zatrząskuje się...
 Co działo się dalej, nasz praszczur nie opowiadał.
 Może to wszystko tak go znużyło, ten wysiłek oczu,
 uwagi, że raptem zasnął. Nie był uczonym. Kto zresztą
 był w on czas uczony?!"

– „A co się z czarką stało?!
 Z czarką?!” – spytałem głucho. Bo naraz skotłowała mi
 głowę myśl, że – może: jeśli upiję krwi praojca,
 przywrócona mi będzie młodość, wieczna?! I mądrość
 wiekuista?!

„Owszem, wiadomo – odrzekł z flegmą żółw. –
 Okręt, który wiózł z powrotem Królową, zatonął. W trzynastym
 stuleci po tym żeglarze senegalscy wyłuskali czarkę
 z brzucha kaszalota, na Oceanie Indyjskim”. – „Nietkniętą?!”
 – „Nietkniętą” – Znów pauza. – Z Abisynii, ze skarbcza [Króla Królów
 wykradł ją, lat temu niewiele, lotnik włoski. Samolot jego
 wpadł do Etny” – „Do Etny!” – krzyknąłem fistułą, [wyprostowałem
 się jak mogłem i ręce wyrzuciłem w górę, płosząc tym ruchem
 dwóch samców-kardynałów, którzy staczali bój rycerski
 na trawniku, rozszarpując sobie wzajem szkarłatne piękne
 grzebienie.

„Aliści Etna wyrzuciła czarkę” – zaskrzeczał
 znienacka żółw. – „Jak sandał...?” – „Empedoklesa” –
 potwierdził z wyraźnym usatysfakcjonowaniem. Znów cisza. Płacz
 oseska dawno wygasł. I śmiech zakochanych. I syki samców. Nie
 wytrzymałem tej pauzy. – „Gdzie krew mego praojca?!”
 – zakrzyknąłem, pełen nadziei.

„Krew, krew, krwi”
 – wychrapał gniewnie. Adriana podniosła się: – „Chciałam,
 mistrzu, siedzieć u twych nóg i pić słowa mądrości z twych ust.
 A teraz...” Zapłakała, biedna miła Adriana. – „Krew, krwi, krwią
 – powtarzał żółw, nie mógł widać przestać. – Mało nażłopałeś się
 krwi moich kuzynów? wybierając ich pełnymi garściami z sitowia
 nad rzeką Ili, tłukąc i miażdżąc wałkiem na nieheblowanym stole
 w garkuchni Promkombinatu, gdzie pomagałeś chamce kucharce
 podkradać żywność. Tryskała ci w oczy krew moich braci,

ochlapowała twarz, twój złachmaniony przyodziewek, broczyłeś
we krwi ich, a ciągle ci jej za mało.
Ciągle wam jej za mało
Ciągle za mało. Za mało...”

Bałem się, że dostanie apopleksji, dławił się.
Uciekaliśmy zawstydzeni przez trawniki, i długo
ścigał nas daleki rechot chimera z Magdalen.

Oxford, lipiec 1962

Ili – osiedle nad rzeką Ili, którą dawniej odbywał się spław towarów do Chin. Jałowa ziemia, wydmy, kolczaste krzewy, sitowie nad wodą, zawsze mętną; w błękitne poranki na horyzoncie rysują się szczyty Tiań-Szań, Gór Niebieskich w śniegach. W osiedlu – kilkanaście budynków: urzędy, klub, szkoła, wysoko oparkanione „kolonie” z wieżyczkami; lepianki Kazachów, jaskinie Koreańczyków; cztery samotne klony; cmentarz zasypywany piaskami; plac targowy; król tyfus. Przyjeżdżał tu niegdyś polować Trocki, za swego zesłania. Za moich czasów (1943–46) nie było zwierzyny, i psy zostały wyłapano. Przez parę miesięcy wiosennych rzeka obfitowała w ryby „marynki”, na połowy czatowały ciężarówki ałmaatyńskich urzędników i naczelników, zabierając wszystko, czego nie zdążyliśmy zjeść na miejscu lub poukrywać. Latem 1944, w parudziesięciu kilometrach od osiedla, nagle pojawiły się żółwie, w dużej obfitości. Przez cztery tygodnie kuchnia Prokombinatu była krwawą ich jatką. |